

— Chyba wreszcie będziemy mogli zdjąć pole ochronne — podsumował Ahr Or Aur, gdy wchodzili z Przewodniczącym Rady Magów przez olbrzymią i masywną bramę na drogę wiodącą do fortecy leżącej w kotlinie pomiędzy wysokimi góorskimi szczytami.

— Masz rację — poparł go ojciec. — Jak tam nasza mała, dzielna wojowniczką? — zapytał o wnuczkę.

— Trochę tęskni. Na szczęście mamy już wszystko za sobą. Jak uruchomimy przejście, będzie można ją zabrać.

— Nie gorączkuj się. Musimy najpierw wszystko dokładnie sprawdzić, a...

— Przepraszam, że wam przeszkadzam — wszedł mu w słowo główny architekt, dołączając do nich.

— O co chodzi, Nestrakcie?

— Rada przysłała gońców z wiadomością — wyciągnął w jego kierunku rękę z pergaminem, zabezpieczonym połyskującą poświatą.

— Dziękuję. Długo potrwa wykończenie kopuły?

— Sądzę, że dwa dni nam wystarczą — odpowiedział architekt.

— Świetnie. Czyli za trzy dni możemy rozpoczynać próby z fraktalą?

— Tak. Od tej strony wszystko zostało wykonane zgodnie z twoimi zaleceniami.

— Widziałem. Byłem tam wczoraj. Całość jest zrobiona według naszych wyliczeń.

— Może powinniśmy ją sprawdzić przed przejściem? — zasugerował Ahr Or Aur. — Później, jak klejnoty zostaną uaktywnione, nie będzie takiej okazji.

— Nie sądzę, aby była taka potrzeba. Sprawdziłem wszystkie jej zabezpieczenia. Zarówno każde zakłęcie, jak i nasycenie magiczną energią jest na odpowiednim poziomie. Poza tym... nie chcemy nikogo uprzedzić z tamtej strony. Niewielka emanacja przejdzie niezauważona, ale dopóki nie umieścimy tam czarów neutralizujących, łatwo będzie można nas odkryć.

— Chyba ktoś nas odwiedził. Jakiś ważny notabl — syn spojrzał w kierunku idących postaci, ubranych na czarno, z groźnie wyglądającymi maskami, zasłaniającymi twarze.

— To właśnie oni dostarczyli pismo — architekt zaczął zdradzać oznaki zdenerwowania.

— Są sami? — Ihr Or Aur uniósł brwi nieznacznie do góry.

— Jestem jeszcze potrzebny?

— Nie. Możesz odejść do zajęć.

Nestrakt wyjątkowo gorliwie skorzystał z otrzymanej zgody.

— Dlaczego wszyscy się tak ich boją? — wzruszył ramionami syn.

— To kwestia przyzwyczajenia. No i ty byłeś w ich towarzystwie na co dzień.

— Dzięki tobie.

Dwie odziane w czarne pancerze postacie, podeszły bez obaw do idących mężczyzn. Obaj wojownicy skinęli lekko głowami przed ojcem i synem.

— Magu — rozpoczął jeden z nich — jesteśmy tu z polecenia Rady.

— Jeszcze nie zdążyłem poznać zawartości — machnął lekceważąco pismem.

Żaden z nich nie zareagował na jego słowa. Przepuścili ich tylko przodem, zajmując miejsce niemal tuż za ich plecami.

— Chyba nie masz innego wyjścia, jak tylko przeczytać. Inaczej będą nam deptać po piętach i będziemy musieli ściągnąć dodatkowych uzdrowicieli — zażartował syn.

— Mam podstawy sądzić, że nie mam innego wyjścia — niemalże dokładnie powtórzył jego pierwsze słowa.

Nie tracąc czasu na sprawdzanie autentyczności pisma, dostarczonego przez obu Tervikańczyków, które pod ich opieką było bezpieczne, strzelił palcami i zielonkawa poświata zniknęła. Zajrzał w dokument i zmarszczył brwi.

— I tak nam będą towarzyszyć. Zalecenie Rady.

— Tylko tego brakowało. Ale dobrze, że niedługo ruszamy.

— Tam też.

— Naprawdę?

— Aha.

— Nieoczekiwanie stali się niezwykle ostrożni. Przecież poradzimy sobie z każdym zagrożeniem.

Lecz jego ojciec wcale go nie słuchał. Myślał już zupełnie o czymś innym i tylko kiwnął głową na znak, że się z nim zgadza.

— Idę do siebie. Pora na posiłek. Przynieść ci coś? — zaproponował ojcu.

— Na razie nie jestem głodny. Dziękuję.

— Jak chcesz. To do jutra.

— Może jeszcze dzisiaj do ciebie przyjdę. Muszę tylko sprawdzić postęp prac.

— Nestrakt mówił...

— Wolę być pewny — przerwał mu.

— To może pójde z tobą? — zaproponował Ahr Or Aur.

— Naturalnie. Idziemy.

Cztery osoby podążyły w kierunku rosnącej w oczach fortecy. Weszli przez duże wrota do wnętrza budowli. Idąc głównym korytarzem, dotarli do drzwi z podwójnymi, masywnymi połówkami. Nie mniej imponujące rygle, były otwarte. Młodszy mężczyzna zrobił ręką znak, a jego linie nakreślone w powietrzu zapłonęły intensywną zielenią. Ojciec w duchu pochwalił jego poczynania. Pamiętał siebie w tym wieku. Nigdy nie przepuścił okazji, aby ćwiczyć. Dlatego teraz, po wielu latach stał na czele Rady Magów. Dzięki uporowi, mogli przeprowadzić projekt jego życia. Otworzyć drogę do innego świata, którą odkrył wiele lat temu, w miejscu, gdzie nigdy jej nie było. Był ciekaw, co spowodowało te zmiany. Co się kryje po drugiej stronie. Zakończenie prac przyprawiło mu wielu sympatyków, lecz i niemało wrogów. A teraz przyjaciele wśród członków tego szacownego grona, zadbali o jego bezpieczeństwo. Czyli nieuchronnie nadchodził moment rozwiązania problemu. Przerwał wspomnienia, wchodząc za synem w płataninę rusztowań, pokrywających niemalże całe, gigantyczne pomieszczenie wewnątrz fortecy. Jego środek zajmowało coś, co ma im pomóc pokonać olbrzymią przestrzeń oddzielającą dwa światy. Nieopodal fraktali stało dwóch kolejnych tervikańskich wojowników. Obserwowali otoczenie czujnymi spojrzeniami, będąc po jej przeciwnych stronach.

— Tak jak myślałem, jest was więcej — mruknął do siebie Ihr Or Aur, oglądając postęp prac. Syn przeszedł niespiesznym krokiem, w koniec rozległego pomieszczenia, bardziej

przypominającego dziedziniec jakiegoś dworu. Ominął łukiem fraktalę teleportacyjną, oglądając znany od dawna wzór na jej powierzchni. Jego ojciec, postanowił wejść bezpośrednio pod metalową czaszę stropu i ruszył w kierunku drabiny. Mijał właśnie złożone na kamiennej podłodze skrzynie, zawierające klejnoty rozpraszające magiczną energię. U góry coś delikatnie skrzypnęło, niczym naciśnięta sporym ciężarem deska. Spojrzał w to miejsce, nie zwalniając kroku. Odczuł delikatne muśnięcie magicznej energii. Zaskoczony popatrzył pod nogi. Powstała znikąd fioletowa mgiełka, owiała mu stopy. Nie mógł dokończyć rozpoczętego kroku, zamierając w bezruchu. Jednocześnie przez pierwszy odgłos, przebił się głośniejszy trzask. Z góry zaczęła spadać, nabierając przyspieszenia identyczna skrzynia, jakich kilka minął przed sekundą. Czas niemalże stanął w miejscu. Widział tylko rosnące w oczach, okute stałą boki i naroże celujące prosto w niego. Ochraniający go wojownik jak naciągnięta w cięciwie strzała, skoczył prosto w jego kierunku. Przygniótł do ziemi, osłaniając opancerzonym ciałem przed zabójczym przedmiotem. Gruba łuska wulkanicznego jaszczura, okrywająca pancerzem jego ciało, wytrzymała uderzenie skrzyni, a Tervikańczyk, potężnie umięśniony mężczyzna, nawet nie stęknął pod nagłym ciężarem. Słyszając hałas, Ahr Or Aur obrócił głowę w tamtym kierunku. Skrzynia leżała na kamiennej podłodze, a oni obaj wstawali na nogi. Magiczna poświata zniknęła nagle, tak jak się pojawiła.

— Nic ci nie jest, ojciec? — ruszył biegiem w ich kierunku.

— Dzięki... jak masz na imię?

— Rendak, magu.

— Dzięki Ryndakowi jakoś żyję.

— Jak do tego doszło? — patrzył niedowierzająco na rozrzucone kamienie, które wypadły z rozbitego pojemnika.

Spojrzał w górę, skąd to wszystko spadło. Nie zdążył skomentować sporej dziury w podeście nad głową. Z wysokości kilku metrów nad ich głowami, dotarli do nich cichutkie grzmoty, jakby nadchodziła burza. Ich ochrona instynktownie dobyła mieczy, koncentrując uwagę na podopiecznych. W dwie sekundy później, jak spod ziemi, wyrosli przy nich ci, których zastali, wchodząc do sali teleportacyjnej. Muśnięcie następnej fali magicznej energii, odebrali tym razem obaj. Ze zdumieniem ujrzeni, jak na ich oczach dokonywała się aktywizacja kryształów. Ihr Or Aur usiłował przebić ciemności w odległych miejscach pod rusztowaniem. Rendak złapał go za ramię i popchnął w kierunku wyjścia. Zaledwie zrobili dwa kroki, gdy z boków, a także z platform otaczających ściany, wyłoniły się, ubrane na granatowo, postacie. Zostali odcięci, bez szans na opuszczenie olbrzymiego pomieszczenia. Z odległego cienia pod konstrukcją okalającą ściany, nadszedł górujący nad wszystkimi mężczyzna.

— Pora umierać — wyszeptał ochryple olbrzym, unosząc i opuszczając stylisko dwustronnego topora bojowego, jakby trzymał w ręku patyk.

— Skądś znam twój głos — spokojnie, bez cienia emocji wypowiedział słowa starszy mag.

— Nawet, jeżeli odgadniesz moje imię, będzie to twoja ostatnia myśl — odparł napastnik.
— Załatwcie ich — wskazał ostrzem Tervikańczyków.

— Nie tak prędko. Czy zdajesz sobie sprawę, na kogo się porywasz? — Ahr Or Aur chciał ominąć wojownika oddzielającego go od pozostałych, zaczynając kreślić w powietrzu linie znaku.

Jakaś ręka jak potrzask złapała go za bark, nie pozwalając na zrobienie kroku. Usiłował się uwolnić, lecz trzymała jak szczęki drapieżnego kota ofiarę. Dokończył znak, ale powietrze zamiast błysnąć jadowitą czerwienią, zaledwie nieśmiało zamigotało słabymi iskierkami.

— Musiałem spróbować — mruknął do siebie.

W tym czasie zaświstało dookoła nich powietrze, cięte jednocześnie przez kilka kling, zmierzających w ich kierunku. Brzęknęła stal mieczy odbijających ciosy, użytych przez ochronę. Wywiązała się walka. Klingi śmigały dookoła magów, z szybkością błyskawicy. Napastników było wielu i równie dobrze wyszkolonych. Po pierwszym, dzikim impecie atakujących, Tervikańczycy niemalże jak na komendę zatrzymali na ułamek sekundy swoje prawe przedramiona, odchylając odrobinę do siebie dłonie trzymające broń. Prawie bezgłośnie w tym hałasie, szczęknięty cztery wyrzutnie, wysyłając w najbliższe ofiary śmiercionośne kolce wulkanicznego jaszczura. Przebijając cienkie kryzy osłaniające szyje, zatrute jadem tego samego gada, utkwili głęboko w tkance. Czterech napastników zamarło w bezruchu, sparaliżowanych działaniem trucizny opanowującej ich organizmy. Łapczywe oddechy i siniejące twarze, oznajmiły ich śmierć. Padli na kamienną posadzkę bez życia. Sytuacja nie na długo uległa poprawie. Miejsce zabitych zajęli inni. Ryndak błyskawicznym ruchem zablokował ostrze zmierzające ku jego bokowi. Drugim mieczem odbił cięcie kolejnego napastnika i potężnym kopnięciem opancerzonego buta, posłał tego pierwszego na stojących za nim ludzi. Wykorzystał chwilową lukę i ciął tego, który został na wysokości biodra pomiędzy dwiema częściami pancerza. Klinga weszła bezbłędnie tam, gdzie chciał. Po jej przejściu, z głębokiej rany bryznęła krew. Rannym zachwiał i po otrzymaniu kolejnego ciosu, runął w tył pod nogi innych. Tamci odskoczyli do tyłu, a podłogę pokryła czerwona kałuża. Wojownik obrócił nieco głowę.

— Teleportuj się, magu i zabierz ze sobą syna — powiedział szybko przez ramię.

— Nie. Muszę wiedzieć, kto to jest.

— Jest ich zbyt dużo i są z klanu Bentuttsi. Nie ochronimy was.

— Nie martw się, na to zawsze jest czas.

— Nie utrudniajcie nam zadania — nalegał, odpierając kolejny atak.

— O nas się nie martw. Rób swoje.

— Jak chcesz — pokręcił głową. — Jak chcesz.

Magowie, nie posiadając żadnego oręża, stali bezradnie wypatrując momentu, w którym mieliby możliwość zrobienia czegokolwiek. Ich ochrona parła na wszystkie sposoby w kierunku wyjścia, gdzie mogli liczyć na ewentualną pomoc. Dowodzący grupą zabójców, zaczął zdradzać swoją postawą niepokój. Spoglądał od czasu do czasu w stronę wyjścia. W końcu, zdecydowanym krokiem, podszedł do jednego z podwładnych i coś mu szepnął do ucha. Tamten wsunął miecz do pochwy na plecach i pobiegł pod rusztowania. Zaraz potem w powietrzu słychać było dźwięk strzały. Jeden z wojowników, błyskawicznym ruchem, odbił ją.

Poleciała w bok. Krótki okrzyk bólu, zanim na dobre zabrzmiał w uszach, ucichł. Kolejny napastnik padł na kamienie.

— Miejsce! — ryknął olbrzym gromkim głosem.

Momentalnie zrobiono mu przejście. Topór, z zadziwiającą szybkością, przeciął powietrze i, nie napotykając na przeszkodę, równie pospiesznie powędrował do góry. Z precyzją pomknął ponownie ku temu samemu Tervikańczykowi. Ten natomiast drugi raz zrobił unik, powracając na swoje miejsce. Świsnęła kolejna strzała. Tym razem uderzyła w, pokrytą łuską wulkanicznego jaszczura, pierś i odskoczyła od twardego pancerza. Strzelec rozochocił się na dobre. Jeszcze jedna strzała mignęła pomiędzy walczącymi. Tym razem ominęła przygotowanego wojownika, grzęznąc jakimś trafem, pomiędzy płytami łuski w łopatce stojącego plecami. Uniesiona ręka zamarła w powietrzu. Po twarzy rannego przebiegł skurcz. Usiłował zablokować cięcie drugim mieczem, ale zabrakło mu ułamka sekundy. Uderzenie napastnika odrobinę nim zachwiało. Stojący z boku wykorzystał sytuację i wyprowadził pchnięcie, celując w jego szyję. Klinga, ze zgrzytem, przeszła pomiędzy maską twarzy, a kołnierzem i utknęła w jego gardle. Milcząc, martwy wojownik, padł na kolana, a następnie na ziemię. Młodszy mag sięgnął po jeden z jego mieczy, lecz błyskawicznie cofnął rękę. Ułamek sekundy później: to miejsce ze świstem przecięło ostrze. Przywódca pewny zwycięstwa, z furią, ale i z zimną rozważą, zaatakował stojącego mu na drodze obrońcę. Ten, z kolei, z precyzją zrobił unik przed spadającym toporem, zaraz potem obrócił się wokół własnej osi i błyskawicznym kopnięciem odepchnął go do tyłu. Sekundę później, śmignęła pomiędzy walczącymi strzała, trafiając stojącego tuż obok innego napastnika. Po tej jednej nadleciały ze świstem następne. Z precyzją wyluskiwały swoje cele i po jednej salwie przerzedziły atakujących. Zapanowało zamieszanie. Gdzieś pomiędzy cieniami mignął hełm ich herszta i zniknął. Ci, którzy przeżyli pierwszą falę, wpadli w panikę. Atak uległ całkowitemu załamaniu. Pomimo próby zorganizowanego przebicia się do wrót, nic z tego nie wyszło. Trafili po drodze na mur, złożony Tervikańczyków. Teraz oni utworzyli zwartą grupę i stali razem, oddzieleni od niespodziewanej odsieczy, kilkunastoma mieczami.

— Poczekajcie — Ihr Or Aur z uniesioną ręką wyszedł zza pleców ochrony i zatrzymał nieuniknioną rzeź. — Jeżeli złożycie broń — skierował słowa do osaczonych — po przesłuchaniu przez Radę, być może uratujecie życie.

Zapadła cisza. Żaden ani nie drgnął, a nawet nie okazał ochoty na tego typu rozwiązanie.

— Pomyślcie — usiłował ich przekonać — wasz przywódca zbiegł. A wy utknęliście tu na pewną śmierć. Ale to nie musi zakończyć się w taki sposób.

Nadal wszystkim w uszach brzmiała tylko cisza, lecz powietrze dookoła stojących Bentuttsi lekko drgnęło i zafalowało. Przewodniczący Rady, w tym samym momencie odgadł, z czym mają do czynienia.

— Uciekajcie. Gdzieś pomiędzy nimi jest fantom z czarem detonującym — krzyknął ostrzegawczo.

Złapani po tych słowach, przez pozostałych przy życiu ochraniających ich wojowników, niemalże wleczeni po posadzce, dotarli jedynie do olbrzymich wrót. Potężna eksplozja targnęła powietrzem. Zadrżały mury olbrzymiej budowli. Stojący wokół epicentrum ludzie, zostali

zmieci z powierzchni ziemi, niczym pyłki na drodze huraganu. Oni, uniesieni silnym podmuchem, wylądowali na, odległej o kilkanaście metrów, ścianie. Długo leżeli nieprzytomni. Dopiero interwencja maga uzdrowiciela, postawiła ich na nogi.

— O, cholera, ale rąbnęło — młody mag trzymał rękoma głowę, bo jeszcze mu szumiało w uszach.

— Macie szczęście, że w ogóle żyjecie — dotarł do niego, jak przez mgłę, głos uzdrowiciela. — Pozostali nie mieli go tyle, co wy.

— Co mówisz? Jak ojciec?

— Już poszedł, chociaż mówiłem mu, aby jeszcze trochę poleżał.

— A... co powiedziałaś... przedtem? Coś... o jakimś szczęściu.

— Ci, którzy byli w środku, zginęli.

— Cholera. Poszedł sam?

— Nie. W asyście Tervikańczyków.

— Aaa... Twardziele, co?

— Jak każdy z nich — uzdrowiciel wzruszył ramionami.

— Dobra. Idę tam. Chyba tak szybko nie wyruszymy.

— Przewodniczący... kazał ciebie zatrzymać w łóżku. Lepiej poleż do momentu, gdy wszystko minie. Łącznie z szumem w uszach.

— Nie. Jak trochę pochodzę, szybciej wszystko zejdzie.

Mag ponownie wzruszył ramionami i odszedł do ostatniego beznadziejnego przypadku. Wojownik, jedynie dzięki uzdrawiającej, magicznej energii, dawał jeszcze oznaki życia. Ahr Or Aur podszedł do stołu, na którym leżał mężczyzna. Przesunął nad nim dłoń i pokiwał głową.

— Podtrzymujesz go przy życiu — stwierdził.

— Tak. Ma małe szanse na wyjście z tego — odpowiedział krótko.

— Muszę dorwać tego mordercę — wyszczał przez zęby.

Uzdrowiciel pokiwał głową w zadumie, co można było uznać za potwierdzenie, lecz powiedział coś zupełnie odmiennego:

— Będą z tego tylko kolejne trupy. Co się stało z naszą społecznością — pokręcił głową niedowierzająco.

Młodzieniec sięgnął ręką do klejnotu wiszącego na łańcuchu.

— Zostaw. Większa dawka energii jedynie go szybciej zabije.

Ten zgrzytnął zębami i pospiesznym krokiem wyszedł z pomieszczenia.

— Dokąd, magu? — postać w czarnym pancerzu, z osłoną na twarzy i hełmem, zastąpiła mu drogę.

Chciał go ominąć, lecz ten równie szybko zrobił krok w tę samą stronę.

— Nie zatrzymuj mnie — syknął zły przez zęby.

— Przewodniczący nie pozwolił nigdzie ciebie wypuszczać — wojownik niezrażony jego zachowaniem, odpowiedział ze stoickim spokojem.

— Prowadź mnie do niego — zażądał coraz bardziej poirytowany.

— Dobrze.

Ta niespodziewana odpowiedź zaskoczyła go, podobnie jak poprzednia stanowcza postawa. Poszli korytarzem aż trafili do ogromnej sali teleportacyjnej. Pomimo ożywionych prac porządkowych, skutki eksplozji niszczącego czaru i tak były jeszcze widoczne. Jego ojciec, wraz z Nestraktem, oglądali stan fraktali teleportacyjnej. Podchodząc bliżej, usłyszał fragment rozmowy.

- ...wygląda na nienaruszoną. Stanowiska kamieni mocy też są w dobrym stanie.
- I tak muszę je sprawdzić osobiście — stwierdził mag, podnosząc rękę.
- Najpierw muszą pozbierać i wynieść wszystkie aktywne klejnoty.
- No, tak — opuścił je wzdłuż boków i ujrzał syna. — Niepotrzebnie przychodziłeś.

Wszystko uległo przesunięciu o kilka dni. Przynajmniej.

- W takim razie spróbuję go odnaleźć i...
- Nie. To jest sprawa Rady. Masz się w to nie mieszać.
- W takim razie będę nalegał, aby przyłączyć mnie do poszukiwań.

Widząc jego zdecydowanie, ojciec odpowiedział:

— Zobaczę, co będę mógł zrobić, ale tobie zabraniam jakichkolwiek poczynąń, bez zgody. Możesz zginąć, działając na własną rękę.

- Nic mi nie będzie...
- Przewodniczący... — dotarł do nich głos.
- Jestem zajęty — odparł, nie zwracając uwagi na tego, kto to mówił.
- To ważne.
- O co chodzi?
- Jest wiadomość do ciebie.
- Nie teraz.
- To jest niezwykle ważna wiadomość.
- Cholera. Idę.

Obaj ruszyli w stronę wrót, w których stał posłaniec.

— Co może być ważniejszego od... — zamilkł, po dotknięciu połyskującej kulki, podanej przez niego.

- Panthea została porwana — zakomunikował bezbarwnym głosem.
- Co... — rozpoczął zdanie jego syn i zniknął.
- Tego już za wiele. Żeby podnosić rękę na dziecko. Pilnuj wszystkiego, Nestrackie — również zniknął wszystkim sprzed oczu.

Czar teleportacyjny przeniósł ich za pomocą Gwiazdy, klejnotu noszonego na łańcuchu, bezpośrednio do domu stojącego nieopodal świątyni. Zaklęcia zabezpieczające rozpoznały gospodarzy i nie zareagowały na nagłe wtargnięcie. Wnętrze sprawiało wrażenie opuszczonego grobowca. Wszędzie panowała niczym niezmacona cisza. Szybкими krokami pokonali obszerny korytarz, idąc w kierunku kamiennych schodów, prowadzących na piętro. Obaj zachowywali ciszę, śledząc oczyma różnorodne detale i zakamarki. Młodszy wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie, mijając, obojętnie leżącego w połowie drogi, wojownika. Starszy przystanął na sekundę i ocenił, iż ten nie żyje. Ruszył dalej i minął kolejnego martwego Tervikańczyka. Przy drzwiach pokoju dziewczynki leżał kolejny, w kałuży krwi.

— Żadne zabezpieczenie nie zostało naruszone — oświadczył Ihr Or Aur, wchodząc do pokoju, gdzie pomiędzy porozrzucanymi zabawkami, leżały magiczne akcesoria.

Młodszy mag pokiwał twierdząco głową.

— Stąd jej nie zabrali, ale była tutaj — w skupieniu oglądał różne miejsca. — Musiała być poza swoim pokojem.

— Sprawdzę drzwi wejściowe — przewodniczący Rady wyszedł.

Natomiast jego syn, tknięty przecuciem, skrupulatnie przeglądał wszystko od początku. Coś mu nie dawało spokoju i umykało. Jednak był pewny, że w końcu będzie wiedział, czego szukała jego córka. Czego brakuje. Jest. Odetchnął z ulgą. Dziecko miało przy sobie magiczny gwizdek, wykonany z rubinu. Za jego pomocą przywoływała zjawę, która opowiadała jej zarówno zmyślane, jak i prawdziwe nieprawdopodobne zdarzenia z przeszłości. Zaczął chodzić po pokoju, tam i z powrotem. Szukał sposobu, by użyć tej rzeczy do odnalezienia córki. Wreszcie również wyszedł. Na schodach spotkał ojca.

— Weszli głównymi drzwiami — wyjaśnił starszy mag. — Czar strzegący przejścia zarejestrował nasze aury jakiś czas temu.

— Czyli pomagał im mag. Być może nawet ten sam, który dowodził Bentuttsi.

— Prawdopodobnie. Zbyt wielu z nas ma Gwiazdy. Tą drogą nigdzie nie dojdziemy.

— Panthea ma przy sobie rubinowy gwizdek, który dostała od ciebie na ostatnie urodziny.

— Ciekawe? Jesteś pewny?

Potwierdzające kiwnięcie głową, było zdecydowane.

— Chyba będę wiedział, jak to wykorzystać.

— Nie prześledzimy drogi ucieczki?

— Na to nie ma czasu, a poza tym, prawdopodobnie zrobili wszystko, abyśmy nigdzie nie dotarli. Musimy być jak najszybciej w budynku Rady. Potrzebne będzie wsparcie i oddział Tervikańskich wojowników.

— A może my obaj...?

— Nie. Im, być może, o to chodzi — zastopował go ojciec. — Postąpimy według ich planu numer dwa, ale musimy działać szybko. Inaczej uciekną i stracimy przewagę.

— Budynek Rady?

— Tak. Tylko nie do wnętrza, jest zabezpieczone przed wtargnięciem.

— Pamiętam. Główne wejście — potwierdził i zniknął.

Przewodniczący zrobił to samo. Przed gmachem było pusto. Wejścia pilnowało dwóch Tervikańczyków. Obaj stanęli przed nimi, niemalże jednocześnie, i ruszyli prosto do drzwi.

— Stać! — jeden z nich podniósł rękę.

— O co chodzi? — zapytał Ihr Or Aur.

— Jest zebranie Rady Magów.

— Nic mi o tym nie wiadomo — mag ruszył przed siebie, pomimo tego, iż tamten zastąpił mu drogę.

— Nie możecie wejść — próbował ich zatrzymać.

— Co? Chyba jesteś tu nowy, bo nie wiesz, do kogo mówisz? — jego głos stwardniał i niemalże brzęknął jak stal.

— Mamy zatrzymać każdego, kto zechce wejść — sięgnął do miecza zawieszonego na plecach.

— A od kogo dostałeś takie polecenie? — zaciekawił się Ahr Or Aur.

— Od przewodniczącego — padła zdecydowana odpowiedź.

— Co oni kombinują? Wchodzimy, ojcze.